



PIOTR WŁÓDARCZAK

ZOO-zwierzenia zootechnika

Bułgarskie tuczniki kontra turyści

Podróż do Bułgarii cieszy się zawsze dużym powodzeniem. Jak wszyscy wiemy, to bardzo popularny wśród naszych turystów kraj, oferujący dużo słońca, ciepłe morze Czarne i fajne jedzenie.

Bułgaria od lat odwiedzana była przez polskich turystów, nie dziwie się więc, że pewnego dnia i mnie podkuśliło, aby zapakować walizki, zorganizować opiekę dla ciężarnych świnek morskich, córki kopniakami zagonić do samochodu i o świcie wyruszyć w wielką podróż. Trasa wiodła przez Słowację, Węgry i Serbię, która nie należy do Unii Europejskiej. Trzeba więc było mieć paszporty i poświęcić trochę czasu na odpra-

wę, jak za dawnych lat, gdy granice były na każdym kroku. Najgorzej, że na granicy węgiersko-serbskiej i serbsko-bułgarskiej dopadli nas Turcy. Całymi tysiącami pruli swoimi wozami z Austrii, Holandii, Francji, Niemiec i Szwajcarii do rodzinnej Turcji na wypoczynek, tak że granicę zatkali na amen, powodując jej zawał. Nic by nie pomogło, aby udrożnić system, ani granulki „Kreta” ani modlitwy, ani przekleństwa. Trzeba było odstać kilka godzin w pełnym słońcu, a czas poświęciłem na obserwację naszych milusińskich. Tworzyli wokół swoisty koloryt, kobiety tonęły w chustach, wszędzie gwar i ruch, ożywione dyskusje, jakby wszyscy znali się od dziecka, jakby dyskutowali o jakimś ważnym meczu, a swoimi ciałami pokrywali każdy kawałek granicy i stacji benzynowych na autostradach. Spali nawet na ziemi, pod samochodami, i przy cofaniu trzeba było uważać, żeby gości nie rozjechać.

Wreszcie po dwóch dobach siedzenia w aucie dotarliśmy nad Morze Czarne

do naszej kwatery w Nessebarze. Nie, nie zgodziłem się, żeby spać w wypasionym hotelu all inclusive, ale wzięliśmy nadgryziony czasem pokój w prywatnym domu, który pewna miła Bułgarka wynajmowała turystom. Chciałem, żeby moje latorośle, trzymające na co dzień nos w swoich komórkach i fejsie, poczuły zapach prawdziwej Bułgarii, gdzie zapachy z ulicznych kuchni mieszały się z wyziewami perfum z okolicznych butików. Żeby zobaczyły jak żyją Bułgarzy i jak ja kiedyś spędzałem wakacje.

Nessebar

To starożytne miasteczko, założone na kamienistym półwyspie, perła Bułgarii, leży w okolicach Burgas i Słonecznego Brzegu. Ostatni raz byłem w Bułgarii w 1979 roku jako dziecko i potem w kluczowym dla nas roku 1989, jako student. Pamiętam, że zwłaszcza podczas pierwszej mojej podróży do tego bałkańskiego kraju, jak opętani rzucaliśmy się na stopy owoców: nektarynek, brzoskwiń, bananów, arbuźów, fig, których w Polsce wtedy nie było. Zatem swoje namioty w pierwszej kolejności rozbijaliśmy wokół straganów z owocami i najadaliśmy się jak tuczniki w końcowej fazie tuczu. Wspecjalizowałem się nawet w wyłudzaniu arbuźów, rycząc po prostu i roniąc krokodyle łzy przed sprzedawcą, że chcę arbuza, ale nie mam dość pieniędzy. Często skutkowało i odchodziłem z wielkimi korbolami pod pachą. Z kolei jako student opijałem się koniakiem „Słoneczny Brzeg” rozgrzanym w słońcu do temperatury 40 stopni, pod namiotem.

Dzisiaj Polska ma to samo co jest w Bułgarii, moich córek nie podniecały już owoce, a Słoneczny Brzeg w formie koniaku nie istnieje. Zmiany, zmiany, zmiany. A w bułgarskim markecie, na półkach znalazłem polskie serki topione, olej oraz inne produkty. Bułgaria się skomercjalizowała, wszędzie wielkie, ekskluzywne hotele, baseny, restauracje,





aquaparki, rozrywki jak w innych krajach słynących z turystyki nadmorskiej. Jednak pogoda, słoneczna, z temperaturą 30-32 stopni ciepła i orzeźwiająca, lekką nadmorską bryzą pozostała i wspaniała alabastrowa woda, z domieszką glonów. Trochę wkurzające było to, że duże odcinki plaż zawłaszczyły hotele i można było z nich korzystać będąc gośćmi tych ekskluzywnych przybytków. Poza tym, gdy przechadzasz się po miejskich uliczkach w sercu Nessebaru, zaczepiają cię stale restauratorzy i prawie siłą usiłują zaciągnąć do stołu na degustację. Porcje jadła mają tam małe i drogie. Mówiłem wtedy zawsze: „Nein, danke”.

- Tata, a co ty po niemiecku gadasz? – pytały się córki, które wiedziały, że akurat tego języka nie znam.

- Ano dlatego, żeby było na Niemców. Zawsze Bułgarzy powiedzą, że chamy Niemcy nie chcą zreć w ich knajpach. W końcu jako wysoki blondyn i tak byłem brany za Niemca.

Najlepiej znaleźć sobie knajpkę kilkaset metrów od centrum i wtedy ceny są od razu niższe, a kelnerzy nie nagabują tak natarczywie. Najadaliśmy się w tych przybytkach do pełna, a do kolacji zawsze zamawiałem butelkę wina. Córki były jeszcze niepełnoletnie, więc sam wypijałem jej zawartość. No, mu-

siałem się poświęcić, prawda? Co wieczór byłem więc lekko wstawiony, ale na wakacjach w Bułgarii to obowiązek. Raz zamówiłem coś alkoholowego z karty i okazało się, że dostałem 12 szotów w kolorze niebieskim. Hm..., kurcze, nie wiedziałem, że tego będzie tyle, a nie może się zmarnować, rozumiecie? – wyjaśniająco powiedziałem do córek, wzruszyłem ramionami i obaliłem wszystkie. Tego wieczoru o spacerze nie mogło już być mowy, ale gdy będziesz w Nessebarze koniecznie wybierz się późnym wieczorem do starożytnej części miasta, oświetlonej reflektorami, w których przechadzają się różnokolorowe tłumy. Fajna atmosfera, really! Jeśli nie lubicie hałasu, to unikajcie jak ognia Słonecznego Brzegu, kurortu położonego kilka kilometrów dalej, bo tam trwa jedna wielka dyskoteka.

Mister Warneńczyk – zagubiony w akcji?

Gdy byliśmy w Warnie, żeby obejrzeć wesoły pokaz sympatycznych delfinów, zetknęliśmy się z postacią Warneńczyka. On już tutaj był, kilkaset lat temu, ale urodził się w Krakowie i był królem Polski, następcą Władysława Jagiełły, a także władcą Węgier, Chorwacji

i właśnie Bułgarii. Oj, kiedyś byliśmy prawie jednym państwem, słowiańskim i chrześcijańskim, choć w Bułgarii dominuje prawosławie, a w Polsce katolicyzm. Warneńczyk przybył nad Morze Czarne, żeby pobić Turków, namówiony do krucjaty chrześcijańskiej przeciwko niewiernym. Niestety, krucjata się nie udała, a król poległ. Podobno jego głowę przechowywał sułtan Turcji w beczce z miodem, ale jego ciała nigdy nie odnaleziono, choć było łatwe do identyfikacji, bo u stóp miało 6 palców. Jak koty hodowane przez Hemingwaya, którego dom zwiedzałem na Key West na Florydzie.

Warneńczyk był więc potężnym królem, choć zapłacił głową za swoje fanaberie. Ale ileż ferm świńskich musiał mieć w swoim królestwie, które produkowały ciężkie, tłuste kabany, żeby wykarmić tych wszystkich rycerzy okutanych w ciężką zbroję. Potrzebowali tłuszczu i energii, żeby to wszystko udźwignąć i machać tym mieczem. Dzisiejszy człowiek sam ma już dość tłuszczu od jedzenia i picia piwa i gapienia się w telewizor bez ruchu. Jakże to uwielbiam!

Inna wersja głosi jednak, że Warneńczyk zbiegł na jedną z atlantyckich wysp i żył w ukryciu z dala od swoich

namolnych poddanych i podobno był ojcem Krzysztofa Kolumba – odkrywcy Ameryki (choć on sam nie wiedział, co tak naprawdę odkrył). Ten wątek można prześledzić w Sewilli w Hiszpanii.

Świński desant w kurorcie

Jadąc z Nessebaru w kierunku Burgas wąską nadmorską drogą, tuż przed Aheloj i Ravdą, zobaczyłem najprawdziwszą fermę świń! Nie wierzyłem własnym oczom, tuczniki w pełnej krasie, wciśnięte pomiędzy wielkie hotele i baseny, wiodące swój żywot wśród turystów, tuż nad skalistym brzegiem Morza Czarnego. I nikt nie protestuje! Choć w internecie można znaleźć wpisy, że w Aheloj śmierdzi, tak świnie zwalczają turystów. Gdy wieją wiatry w kierunku Burgas, tuczniki stosują broń chemiczną i emitują swoje zapachy, żeby wypłoszyć z tych pięknych basenów i hoteli turystów (którym wydaje się, że wszystko im się należy, bo mają akurat wakacje) i przegnać ich na trzy wiatry. Inaczej zwierzaki zginą i skończą na talerzach przybyszów z całej Europy, w rozlicznych restauracjach – jako grillowane danie główne po sałatce „szopskiej” rozbudzającej apetyt. Sałatka szopska! Oh! Sam widziałem wiele bułgarskich jadłodajni wabiących po polsku naszych rodaków i oferujących im w menu polskie kotlety wieprzowe. Niestety, te kawałki świń na talerzach nawet obok naszych kotletów nie leżały i im nie dorównują. Biedne bułgarskie świniaki również nie lubią naszego Warneńczyka, bo ten chciał pobić Turcję, o której tuczniki z pewnością marzą. W Turcji dominuje islam i muzułmanie nie jedzą świń, tam

czułyby się bezpiecznie, tam miałyby wakacje i spokój. Do granicy bułgarsko-tureckiej nie miały nawet daleko, około 300 kilometrów, jakaś przemyślana ucieczka na pewno by się powiodła. Już kiedyś Pawlak i Kargul w filmie „Nie ma mocnych” przerabiali świnie na dzika, więc mogłyby wykorzystać ten motyw i kamuflaż. Może by ich wtedy nie zjedli, ale w sumie same są sobie winne. Znacie inne zwierzę, które rodzi się z masą około 1,5 kg, a po kilku miesiącach osiąga wagę 115-120 kg? Tego może dokonać tylko świnia, która nic nie robi, tylko je i śpi, a czasem marzy o Turcji. Dlatego człowiek ją uwielbia.

Dobrostan nad Morzem Czarnym

Nie wiem jak z dobrostanem świń na fermie w Bułgarii, bo nie byłem w środku. Nikt by mnie tam nie wpuścił, tak bez ostrzeżenia, obcych nie wpuszcza się na fermę, a poza tym, jeśli bym tam wszedł, musiałbym pójść do psychiatry. Córki w strojach kąpielowych czekały obok mnie, żadne pławienia się w morskich falach lub zjeżdżania z wielkich wymyślnych zjeżdżałni w Aquaparku w Ravdzie, a ja mam wejść do świń podczas urlopu? Chory człowiek! Ale Bułgaria jest w Unii Europejskiej i wierzę, że dotyczą jej te same przepisy co nas w Polsce. Tucznik utrzymywany na ruszcie powinien mieć zapewnioną powierzchnię około 0,9-1 metra kwadratowego, a na ściółce 1-1,2 metra. Jednak nikt nie określił, jaką powierzchnię należy zapewnić plażowiczom wylegającym się tłumnie na rozgrzanej słońcem plaży nieopodal fermy. Tam trudno było

nawet o pół metra wolnego miejsca! Turyści tak samo jak świnie ryli w piachu, kwiczełi, zajadali jakieś substancje organiczne i przepychali się w walce o dogodne miejsce nad wodą. Ale za parasole i leżaki musieli sami zapłacić, a świniom nikt ich nie proponował.

Zdarzało się jednak w mojej praktyce, że i świnie się opalały, jak Ci wszyscy turyści. Nie były to tuczniki, ale loszki reprodukcyjne, które – gdy nie chciały wchodzić w ruję – były wypuszczane przez właściciela przez dziurę w ścianie chlewni na dwór. Wtedy chodziły sobie na słońcu i wylegiwały się, jakby były nad Morzem Czarnym. Świeże powietrze, wiatr i światło stymulowały ich przysadki do rozpoczęcia wydzielania hormonów wpływających na objawy rui. Gdy ferma przejęta została przez wielkiego producenta, ten proceder się skończył ze względu na bioasekurację. Świnie nie mogły wychodzić już na zewnątrz. Pomimo zakazów, właściciel nadal stosował swoją ulubioną zabawę z loszkami w tajemnicy przed dyrektorem koncernu. Gdy ten pragnął wizytować fermę, wtedy hodowca maskował szybko tajemne wyjścia na dwór i udawał, że nic się nie dzieje.

- Wypuszcza pan jeszcze loszki na zewnątrz? – pytał dyrektor hodowcę.

- Panie, gdzież tam! Ni! Siedzą w środku, jak Boga kocham – bił się w piersi rolnik.

- A dlaczego one są takie czerwone? – podejrzliwie zapytał nadzorca i tak sprawa się rypnęła.

I faktycznie, świnie tak się spaliły na słońcu, że ich skóra zrobiła się czerwona. Nie stosowały przecież żadnego filtra przeciwko promieniom słonecznym. ■

